

# PROMIEN



Rok XIV

Maj 1939 r.

Nr 8 (124)



*I tyle tęcz zapalisz na swym niebie,  
Ileś za młodu życia wchłonął w siebie.*

# „PROMIEN”

Miesięcznik Młodzieży I. Państw. Liceum i Gimnazjum  
im. I. Marsz. Polski J. Piłsudskiego w Ostrowie-Wlkp.

---

Kierownik Wydawnictwa — Red. Odpowiedzialny — Redaktor Naczelny  
T. Nabzyk Prof. dr J. Jachimek Rajski T.

---

ROK XIV MAJ 1939 R. NR 8(124)

---

ANTONI KUT

Prezes Rady Głównej

## „Gdy wróg w złości się topi my z dumą patrzymy w niebo”

Jeszcze nie wyszedł z pamięci huk armat z wojny światowej, jeszcze nie przycichł lament i płacz milionów matek i żon, jeszcze nie zarosły dobrze trawą samotne mogiły poległych żołnierzy, jeszcze nie zatarto śladów morderczych zmagani narodów kochających wolność z narodami pragnącymi im tę wolność zrabować, jeszcze nie odeszli od nas Ci wszyscy, co wolną Ojczyznę nam dali, a znów ten sam naród, który wojnę światową rozpętał, wyciągnął swą łapę zaborczą. Wyciągnął, porwał lecz i szybko cofnął. A cofnął dlatego, że natknął się na naród potężny, naród kochający swą wolność i szanujący swój honor. My, piędzi ziemi nie damy, pługi zamienim na miecze, w obronie Ojczyzny kochanej, gdy przyjdzie potrzeba krew damy. Oto nasza charakterystyka. Myśmy wyciągnęli ręce do zgody. Zgoda nasza była szczerą. Lecz sąsiad zachodni pozostał takim, jakim był przed wiekami i jak go określił w „Grażynie” nasz wieszcz narodowy Mickiewicz:

„Zdarza się wprawdzie, że sąsiad sąsiada,  
z którym nieprzyjaźń toczył od lat wielu,  
Uściska wreszcie, gniewne serce składa,  
Jeden drugiego zowiąc: przyjacielu;  
Że bardziej jeszcze, niżli złe sąsiady  
Gniewne na siebie Litwiny i Lachy

Często u wspólnej pijają biesiady,  
Snu używają pod jednymi dachy,  
I miecze toczą ku wspólnej potrzebie:  
Lecz krzyżackiego gadu nie ugłaszczą  
Nikt, ni gościna, ni prośbą, ni dary!  
Małość Prusaki i Mazowsza cary,  
Ziem, ludzi, złota wepchnęli mu w paszczę?  
On wiecznie głodny, choć pożarł tak wiele,

Lecz niech wróg pamięta inne słowa Mickiewicza:

„Odrzuciły mocarstwa kamień wasz od budowy europejskiej i oto kamień ten stanie się kamieniem węgielnym i głową przyszłej budowy, a na kogo on upadnie, tego skruszy a kto nań potknie się, ten upadnie i nie powstanie więcej“.

Nas nie zastraszą uzbrojone miliony, gdyż jak znowuż Mickiewicz powiada: „żołnierz, który walczy bez wiary w dobroć sprawy swojej, zwierzęciem jest, a dowódca, który prowadzi na bój bez wiary w sprawę swoją rozbójnikiem jest“.

Takich nie trudno zwyciężyć.

Przebieg ostatnich wstrząsów w Europie dowiódł, że w duży narodu polskiego dokonał się akt przełomu. Z psychiki defensywnej przeszliśmy znowu na psychikę ofensywną, celową aktywność, — z trwania na rozwój. Z wielkiej wojny naród polski wyniósł niepodległość, ale nasze osiągnięcia nie pozostawały w należytych stosunkach do przelanej krwi żołnierza polskiego, do aspiracji i historycznego posłannictwa naszego narodu. Obstawiono nas maksymalną liczbą trudności, niedorzecznie przeprowadzono na naszą niekorzyść tu i owdzie granice zarządzono zbyteczne plebiscyty, które dały, dla nas niekorzystne wyniki. Daliśmy dowód rzadkiej wstrzemięźliwości, przyjmując wynik wojny bez szemrania i stając w grupie gwarantów nowego porządku rzeczy, gdy znacznie słuszniej mogliśmy się zaliczyć do państw pokrzywdzonych. Doszło do tego że chociaż my właśnie słuszniej niż ktokolwiek w Europie, moglibyśmy wołać o zmiany, milczeliśmy, gdy czynili to inni! Nie byliśmy i nie będziemy burzycielami porządku w Europie. Od świata nie żądamy niczego, co by nie odpowiadało obiektywnemu poczuciu słuszności. Ale jedno jest pewne: nie zgodzimy się nigdy ani teraz, ani w przyszłości, by cokolwiek w sferze naszego bezpośredniego interesu miało zmienić się bez naszej woli. Bo pasywizm psychiki polskiej był tylko zjawiskiem chwilowym, wynikiem wskutek rozbiorów, gdy aktywizm sięga korzeniami zarania naszych dziejów, a pełna godności postawa czynna i

nieugięta jest istotą duszy polskiej. Od roku 1918 zrywamy się z miejsca, walimy w przyszłość, aby odrobić zaniedbania, bo w nas siła, która każe iść z rozmachem, która każe chwycić pracę aby stworzyć dzieło poczęte z entuzjazmem: Polskę mocną, twórczą, wykuwaną mazołem wszystkich. W Polsce nie ma zasług, każdy spełnia tylko swój obowiązek! I znów posłuchajmy Mickiewicza:

„Niech każdy składa talent swój Ojczyźnie jako dar w skarboneę tajemnic, nie mówiąc wiele złożył. Ale jeśli chwalić się będziecie iż tyle a tyle złożyliście, tedy wyśmieją Was ludzie i poznają, żeście dawali talent wasz tylko dla chluby“.

„Zasługa dla Ojczyzny jest jak proch. Kto proch szeroko rozsypie i podpali, zrobi mały błysk bez mocy i skutku. Ale kto proch zakopie głęboko i podpali, tedy wywróci ziemię i mur z hukiem i stukiem, a ludzie mówić będą: zaiste było tam wiele prochu, chociaż było niewiele, ale w zakopaniu głębokim.“

Każdy z nas niech będzie dumny z imienia „Jestem Polakiem“.

My, mamy być przykładem dla innych narodów. Tak jak niegdyś powstańcy polscy, głównie wyrwane z pożaru polskiego, rozpalali ogniska wolnościowe narodów słowiańskich, tak my musimy budzić cześć i zachwyt wszelkimi swymi poczynaniami. My chcemy, aby prawda o Ojczyźnie była własnością każdego Polaka. Musimy obudzić w sercu każdego poczucie wielkości. Wierzmy tylko własnym siłom, nauczenni doświadczeniem. Nami kieruje przewaga moralna ożywiona wiarą w zwycięstwo i ta zawsze zwycięża. Nas ożywia wielka idea. Dorołek nasz wypracowaliśmy w straszliwym trudzie wielu pokoleń. Dlatego nie oddamy go, lecz jeszcze powiększymy. Naszym naczelnym hasłem jest polskość. My, w bracie swoim widzimy pomocnika w budowaniu wielkości Ojczyzny, a nie przeciwnika. Nie ma w Polsce już partyj. Jest naród potężny i zgodny. Polska nie tylko jest tam gdzie Bałtyk, gdzie Karpaty, gdzie Poznań, gdzie błota poleskie, ale Polska jest wszędzie, gdzie spoczywają kości praociców naszych poległych w walkach z najeźdźcą. Dziś oczy nasze zwracamy na zachód. Bohaterskim braciom z nad Odry i jezior Mazurskich ślemy pozdrowienie. Wierzmy, że nie złamie ich żadna siła. Bracia Polacy! Wytwarzajcie! Chrobry czuwa! Już podnosi swój szczybiec nad brzegami Odry i czeka spokojny. Z nurtów potężnej rzeki wychylają się powoli granitowe słupy.

---

Witaj majowa jutrzeńko, Witaj Maj Trzeci Maj... Wiwat wszystkie stany! W wesołym nastroju, silny, zwycięski i zgo-

dny naród polski obchodzi tegoroczną rocznicę konstytucji. — Wpatrzony w drogie polskie niebo, śle pokłon ukochanej Królowej Korony Polskiej.

— — — — —

Przy dźwiękach marsza żałobnego Szopena idziemy posepni, myślący przez podwoje, pałacu belwederskiego. Wdzięczny naród składa hołd ceniom Wielkiego Syna Polski Twórcy potężnej armii, widocznej cechy naszej potęgi.

— — — — —

Trzecia uroczystość to już murów naszego zakładu dotyczy. Potomkowie Dalborów, Kopałłów i wielu wielu innych patriotów składają miejscowemu 60 pułkowi piechoty karabin maszynowy. Więc w parze z wysiłkami starszego społeczeństwa pokazujemy reszcie młodzieży polskiej, że i młodzi potrafią potęgę Polski budować. Spełniamy tylko swój obowiązek względem Polski. Myśmy przyszłością narodu. Dziedzictwa zostawionego nam przez ojców nie zmarnujemy. Wrogom zaś pokazemy, że Polacy od młodzieży aż do siwego starca są:

SILNI, ZWARCI, GOTOWI!!!

---

## MYŚLI JÓZEFA PIŁSUDSKIEGO

Bramy przepastne śmierci dla niektórych ludzi nie istnieją. Świadczą o prawdzie wielkości takiej, że prawa wielkości są inne, niż prawa małości.

Idźcie swoją drogą, służąc jedynie Polsce, miłując tylko Polskę i nienawidząc tych, co służą obcym.

Służymy ojczyźnie. A służba jest niczym innym jak słuchaniem praw, przez ojczyznę ustanowionych.

Chodzi o to, aby kraj nasz zrozumiał, że wolność, to nie jest kaprys, że wolność nie znaczy „mnie wszystko wolno, drugiemu nie“, że wolność, jeżeli ma dać siłę, musi jednoczyć, musi łączyć.

Powtarzam: trzeba mieć silną wolę i pewność siebie, a przyszłość jaśniejsza będzie, niż smutne nieraz „dzisiaj“.

Tylko ten człowiek wart nazwy człowieka, który ma pewne przekonanie i potrafi je bez względu na skutki wyznawać czynem.

## Nasz hymn narodowy

Jakże często śpiewamy nasz hymn narodowy „Jeszcze Polska nie zginęła...“, którego historii niestety wielu z nas nie zna i nie docenia jego wartości. Zadaniem niniejszego szkicu będzie oświetlenie ciemności panujących wokoło naszego hymnu.

Pierwszym naszym pewnego rodzaju hymnem była pieśń — „Bogurodzica“. Początkowo, czyli od XIII wieku „Bogurodzica“ miała charakter wyłącznie religijny, którego główną myślą były słowa: „na świecie zbożny pobyt, po żywocie rajski przebyt“. Późniejsze jednak czasy nie odejmując jej charakteru religijnego, stworzyły z „Bogarodzicy“ coś więcej, a mianowicie dodały jej charakteru narodowego i powiększyły jej zwrotki. — W takim religijno - narodowym charakterze, Bogurodzica była już śpiewana od XIV wieku pod Grunwaldem, Nakłem i Warną, a prócz tego śpiewali ją wszyscy w ważniejszych i uroczystych momentach życia narodowego. Lecz już w wieku XVI odwrócono się od „Bogurodzicy“, mimo powszechn. żalu i wielkich starań takich mężów jak Łaski, który ją umieścił na czele swych statutów i Niemcewicz, którego „śpiewy historyczne“ otwierała „Bogurodzica“. Autorstwo tej pieśni przypisywano św. Wojciechowi i mimo wielkiej aureoli jaką ją otaczała musiała pieśń ta ustąpić nowej, świeckiej, a która nazywała się — „Jeszcze Polska nie zginęła“... Musiała pieśń ta ustąpić, bo jej ideały, jej hasła przeżyły się i nie odpowiadały duchowi nowych czasów. Miejsce „Bogurodzicy“ zajęła nowa, potężna pieśń — „Jeszcze Polska nie zginęła“.

Twórcą nowej pieśni, która stała się naszym hymnem jest — Józef Wybicki, uczestnik walk konfederacji barskiej, insurekcji kościuszkowskiej, członek delegacji podczas sejmku czteroletniego, współorganizator legionów i Księstwa Warszawskiego, pisarz, który zajął poważne miejsce w naszej literaturze politycznej. Miejscem narodzin dzisiejszego hymnu była ziemia włoska: Reggio, lub Mediolan roku 1797. Pieśń ta składała się z sześciu strof, z których pierwsza brzmiała:

„Jeszcze Polska nie umarła  
Kiedy my żyjemy,  
Co nam obca moc wydarła,  
Szablą odbierzemy“.

Prosta ta pieśń przeznaczona była, jako pobudka dla legionów Dąbrowskiego i nie spodziewał się Wybicki, tak jak i twórca „Marsylianki“ Rouget de Lisle, że stanie się ona pieśnią — hymnem narodowym.

Mazurek Dąbrowskiego rozpowszechnił się szybko i ogarnął szerokie połacie Księstwa Warszawskiego i Litwy, gdzie w roku 1811 uważany był za stary, czyli za dobrze znany.

Jakaż była przyczyna, że śpiewano go wszędzie, że śpiewał go każdy?

Pieśń „Jeszcze Polska nie zginęła“, wniosła hasła dotąd nie znane, wniosła silną niczym nie zachwianą wiarę w przyszłość, w zmartwychwstanie Polski, w konieczność tego. Była wiatrem, prądem, który roznieca i rozrzuca płomień miłości Ojczyzny, płomień czynu, walki, bo przecież:

„Co nam obca moc wydarła,  
Szablą odbierzemy“

Czyn i wiara w niego, we własne siły, w siebie samych były ze słów:

„Jeszcze Polska nie umarła,  
Póki my żyjemy“

Pieśń ta, była sztandarem dumy narodowej, miłości Ojczyzny, zapowiedzią walki o Jej wolność, walki, w której Polacy się nie dadzą i będą bronić każdej piędzi ziemi. Prócz tego była zwierciadłem, w którym odbijało sumienie, myśl i narodowe dążenia.

Ostatecznie pieśń „Jeszcze Polska nie zginęła“ przechodząc zmiany tekstowe aż do dnia dzisiejszego, utrwaliła swój charakter hymnu już od powstania listopadowego.

A czyż dzisiaj, kiedy mamy wolność, hymn nasz pozostaje aktualnym? — Na to pytanie pozostaje tylko jedna odpowiedź — „Tak“. Jesteśmy narodem, który zwie się kulturalnym, a jako taki winien pielęgnować narodowe pamiątki przeszłości, fakty, które rodzą się na szereg wieków: tylko raz. Winniśmy pamiętać o bohaterach, którzy ratowali Ojczyznę w niebezpieczeństwie, którzy życiem swym i czynami dążyli do ratowania honoru całego narodu. Może jednak nie jest aktualną strofa hymnu:

„Dał nam przykład Bonaparte  
Jak zwyciężać mamy“

Też — nie! Bonaparte pozostawił po sobie taki ślad, że będzie zawsze przykładem zwycięskich wodzów, a oprócz tego, strofy te to wskaźnik pokazujący na Francję, by o nią się oprzeć, by z nią zacieśniać więzy współpracy i zbliżenia.

Na koniec porównajmy hymn „Jeszcze Polska“ z tymi pieśniami polskimi, które miały stanąć na piedestale hymnu narodowego i z hymnami innych narodów.

Konopnickiej „Rota“ mimo swych dobrych stron nie staje na wysokości hymnu, a wręcz jedna strofa jest dla nas hańbiącą:

„Nie będzie Niemiec pluł nam w twarz“.



„Boże coś Polskę“? — brak tam tej wiary w siebie, wezwania czy pobudki do czynu, a oczekujemy tylko od Boga miłosierdzia, w postaci — wolnej Ojczyzny. Za wiele jest w niej „rozpaczny i niemocy“, a wszak jesteśmy i jak wskazuje historia byliśmy narodem duchowo silnym.

A jakiż jest charakter innych hymnów?

Hymn niemiecki „Die Wacht am Rhein“, który można nazwać hymnem wojennym, ma w sobie nutę stałości, wierności i miłości ojczyzny. Ale istnieje drugi hymn „Deutschland, Deutschland über alles“ posiada wszelkie cechy szowinizmu, widząc swe granice: „Od Adygi do Niemna“ i „od Adygi do Bełtu“. Tak więc widać z tego wyraźnie, iż Niemcy w bezczelny sposób chcą okraść Polskę, Włochy, Danię, czy wreszcie Francję.

Z angielskiego hymnu „Rule Britannia“ przebija chęć wdzienia siebie panami świata duma, duma i nic więcej. Najbliższą duchem jest nam „Marsylianka“. Charakteryzuje naród francuski w całej pełni. Wskazuje na „świętą miłość ojczyzny“ i „płomienną miłość ukochania wolności“, a potem po spełnieniu świętych obowiązków, ogarnia Francuzów szlachetna żądza honoru i sławy.

Dumni możemy być z naszego hymnu narodowego, więc śpiewajmy go z godnością, bo on jest i winien być dla nas rzeczą świętą.

---

REISING RYSZARD

## Forma a treść

Studium literackie.

(Ciąg dalszy)

Przystępuję teraz ad rem.

Omówię rzecz z punktu widzenia obiektywnego, realnego. Omówię znaczenie myśli i treści, nie jako tej, która nie jest dostrzegana przez krótkowzrocznych krytyków (mają „ciężki“ orzech do zgryzienia. O! formo!), ale jako cechy wszelkich utworów pisanych. Treść utworu, osnowa utworu, myśl utworu winny być kwintesencją twórczości człowieka. Myśl powinna być Bogiem — mówi Mickiewicz w złośliwym określeniu twórców Słowackiego.

Ale z drugiej strony spróbujmy wyeliminować formę ozdobną. Zatem pozostaje na świecie biedaczynka — myśl.

Zamiast poetów, pisarzy — niech będą ludzie, ot, takie filozofy. Chcą przekonać cały świat i opanować go „rewolucją“ zapału.

Jeden pisze: „Ludzie myślcie, bo ja myślę!“

Drugi pisze: „Robię w tej chwili odkrycie. Po wielu trudach doszedłem do wniosku, że należy powiedzieć do tłumu: Szukajcie, a znajdziecie!“

Trzeci pisze: „Chciałbym, żebyście wszyscy byli, jak ja filozofami. O! Epigonowie przyszłych pokoleń stańcie się Pitagorasami, sięgajcie po wiedzę w iście pitagorejski sposób (Boże! Uchroń nas od Sokratesa!)! Wysuwam hasło: filozofia bez słów! (O! formo!)!“ —

Kochani filozofowie ani rusz nie mogą przekonać nikogo. Słowa ich są puste, jak wiatr. Nikt ich nie słucha.

Doszliśmy więc do wniosku, że filozofia, myśl, treść bez formy nie mają żadnego znaczenia aktywnego, chyba pasywne.

I oto ta „przeklęta“ przez niektórych forma podchodzi do suchej filozofii i pogodzona współpracuje z nią w harmonii tych dwóch tworzyw. Trudno! Nie ma rady.

Zatem zagadnienie można rozpatrywać tylko pod kątem widzenia: co ma większe znaczenie w utworze, jeżeli jest więcej rozwinięta myśl, czy forma.

W XIX w. żył nasz Rodak, nazwiskiem Krasieński, szkoda, że pokryty pyłem zapomnienia. Otóż u tego „wieszczka“ rozwinięła się szczególnie myśl. Tak głębokiej treści nie posiadali ani Słowacki, ani Mickiewicz. Krasieński był myślicielem. Dlatego więc dorósł do wielkiej trójcy poetów, bo umiał słowa przetapiać w wewnętrzną stal myśli.

Ale zaznaczyć trzeba, że i formy nie zaniedbał, że czasem potrafił doprowadzić ją do artyzmu, jak np. w smutnym „Pożegnaniu ziemi italskiej“.

Czyli: mieszkał w nim „Bóg“ i miał „kościół“ dla „Niego“.

Sam Mickiewicz w równej mierze postawił zagadnienie myśli i formy. A przecież jak wielkie znaczenie miała jego myśl narodowa! A przecież był jednocześnie wytwornym, barwnym stylistą! —

Wspomnę jeszcze Kasprowicza, który jest najgłębszym myślicielem „Młodej Polski“. W każdym cyzelowanym słowie, w każdej strofie, rytmie, wierszu, zdaniu kładą się w umysł czytelnika gnębiące i straszne myśli, nieraz chwytają zmysł uczuć raczej podświadomie: tyle jest symbolów i alegorii. Wszystko zaś otula artystyczna szata formy. Dopiero teraz cenimy Kasprowicza za obrazy walki na śmierć i życie, jaka się rozgrywa w duszy każdego człowieka, a którą tak impulsywnie ( w takt drgań serca) oddał w „Księdze Ubogich“, gdzie pod koniec ulega, bo wie, że „zrodziła ją ludzka niedola i na to już nie ma rady“. Korzy się przed Bogiem, mówiąc o swym dziele „ubodzy cię pisali ludzie“. Moment strasznej spowiedzi z win całej ludzkości chwyta na gorącym uczynku w „Pieśni wieczornej“. I za to cenimy Kasprowicza.

Za myśli wyrażone gromami słów.

A żył w XIX w. u nas, w Polsce i nie tylko w Polsce nasz drugi wieszcz — Juliusz Słowacki. Powiedział o nim kiedyś, jak już wspomniałem Mickiewicz, że stworzył kościół, ale bez Boga.

Przesadą były do pewnego stopnia słowa Mickiewicza (jeżeli Bóg jest symbolem myśli). Juliusz Słowacki zbudował bowiem złote pałace formy, potrafił wzbić się w błękity, ale przez to właśnie trafił do Boga.

Wziąć pod uwagę Anhellego. Żyje tu myśl narodowa. Żyje naród zaklęty w symbole. Metafory głębokie, wzięte z impulsu życia.

A forma?

Ten cudny styl, dzwoniący w uchu obrazem dalekiej Syberii — Polski. Bolał Słowacki nad losem „dzwonu pękniętego“, czuł potrzeby narodu, żeby zrodził się z niego wielki, święty Czyn.

Pogodził w tym dziele formę z treścią. Ale Słowacki ukochał formę, jako te skrzydła do wielkich podniebnych lotów. W Beniowskim daje swe credo:

„Chodzi mi o to, aby język giętki,  
Powiedział wszystko, co pomyśli głowa“

Rozumiał, że wraz z wyrobieniem języka, wartość utworu wyraźnie się zwiększa.

Jaką on tam treść rozwinął, tego jeszcze dziś stwierdzić nie można.

Rapsody „Króla ducha“ — rozjaśniać może wieki.

Częstokroć mamy wrażenie, że Słowacki poszedł po linii supremacji słowa nad myślą. Oczywiście! Do tego dążył, by forma pociągała i lśniła. Jeno, że był za nadto wielkim, aby skarłowacieć treść — pozostawił ją jedynie dla dyletantów.

Po 1883 r., kiedy to nastąpiła śmierć Wiktora Hugo, zapanał we Francji prąd literacki zw. symbolizmem. Ile symbolów i alegorii było już w poezji Słowackiego (harfa, chmura w Kor-dianie, alegoria: wierzba w Ball.).

Symboliści główną uwagę poświęcili formie, jako czynnikowi, który zawiera kontakt z czytelnikiem. U nas rozpoczęli później akcję futuryści i formiści. Utwory ich jednak pozbawione większej treści straciły wartość. Forma ta zresztą stała pod znakiem zapytania i jedni w ogóle nie wliczali jej do piśmiennictwa (Czernik). Jako konkluzję z całości tych dociekań trzeba powiedzieć: forma i treść winny posiadać jak najwyższy poziom.

Utwory o dobrze rozwiniętej myśli należą do arcydzieł światowej literatury (Słowacki: Ojciec zadzumionych). Oczywiście: myśl musi harmonizować z formą i odwrotnie. Dyspro-

porcja pomiędzy tymi dwoma ogniwami twórczości artystycznej prowadzi do wyników znikomych.

Co ma większe znaczenie?

Forma czy myśl?

Aktywne — stanowczo forma. Bez porywającej formy nie wywołałby Sienkiewicz takiego oddźwięku w narodzie. Forma uplastycznia obraz. W mowie wiecowej bez zewnętrznego blasku i gromów słów mówca nie potrafiłby wzruszyć nikogo.

Ale nie powinna forma olśnić jeno blichтром i zgasnąć. Krok za krokiem musi kroczyć za nią myśl, treść.

Końcowy wniosek:

Mają równe znaczenie. Są od siebie zawsze uzależnione. Stojące na jednym poziomie stwarzają dopiero potężny, wspinały gmach twórczości artystycznej ducha ludzkiego!

---

SZCZUBLEWSKI JÓZEF

## Taneczna egzotyka

Siedzieć przy radio o słońca zachodzie,  
Gdy dzień hen zapada w czerwień i złoto,  
Gdy dudnią w radio dalekie melodie —  
I marzyć oczami taneczny egzotyk.

*wdzięcznie się dźwięczna i miękko wywija  
z hawajskich gitar pocięta canzona,  
nocą u brzegów bajecznej Hawai  
księżyc na falach zatańczy hostona*

— — *święty Fudzi śniegiem jaśni*  
— — *kwitną wiśnie, sady w baśni,*  
— — *białe płatki na jabłoni,*  
— — *słońce wschodzi nad Japonią —*

*Pije czaj Lao-Taj,  
młody dumny pan*

*I дума:*

— *„Piękna jest Kumi-San,  
miła jak wonny maj” ...*

— — *słońce wschodzi nad Japonią,  
— — tańczą płatki w krąg jabłoni..*

— — — — — *Rwie*  
*Bramaputra z wyżu Himalajów,*  
*pielgrzym nad święty Ganges dociera,*  
*smagła tancerka hinduska w Bombaju*  
*tańczy dzika jak prężna pantera.*

— — — — —  
*!wtem! w głębi Afryki w wiosce murzyńskiej*  
*brzmi bęben ze skóry gorylej*  
*czarny jak diabeł uderza weń dzikus*  
*przepyszne latają motyle*  
*tłum w takt orgiczny tupoce piętami*

— — — — —  
*a tam Samoa wyspa tam-tam dziki*  
*jazzista Tamtami łomota w tam-tam*  
*tango Tamita tańczy kobieta i krzyki*  
*a Bambo bić bęben tam tam tam tam.....*

I zda się,  
że w mrocznym pokoju  
rzeczywiście  
szeleszczą palm liście,  
że cienie po kątach  
uchwytne w rytm tańczą  
i że soczyste  
pachną pomarańcze...

---

### Wrażenia z lektury

FELIKS ORZEŁ

## Kazimierz Wierzyński „Utwory zebrane“

Przede mną leży otwarta książka. Ot, książka jak i wszystkie inne. Spójrzmy na tytuł: „Utwory zebrane“ Te utwory to wiersze jednego z poetów doby dzisiejszej, wiersze Kazimierza Wierzyńskiego. Książka jego podzielona jest na siedem działów. Pierwszy z nich to „Wiosna i wino“.

Dział ten rozpoczyna wiersz pod tym samym tytułem. — A więc pochwała wiosny i wina. Tak jak radosną jest wiosna na świecie, tak samo radosny jest ten dział. Cechuje go ta niesłychana pogoda, jaka tylko może być na wiosnę życia naszego. W każdym niemal wierszu napotykamy pochwałę przyrody, widać, że poeta ukochał ją, że umie wczuć się w jej tętno. Chce mu się iść w przestrzenie, błąkać się bez celu po polach i czuć radosnym, szczęśliwym jak dziecko. Ze wszystkich stron bije

nieprzebrana siła młodości. Zda się, że w żyłach jego płynie nie krew lecz wino i to wino najczystszej jakości. Zaś nad wszystkim unosić się zda i królować młodzieńcza bez troska. To wszystko sprawia, że dział ten wywiera na nas bardzo pogodny wrażeń. Z nim to przechodzimy do następnego cyklu „Wróble na dachu“.

Ciągle jeszcze ta niczym niezamącona bez troska cechuje wiersze. Lecz nagle ni stąd ni zowąd odzywa się w poecie pragnienie wakacyj. Wyjeżdża więc na wieś i tam na łonie przyrody rozkoszuje się czarem zmierzchów i poranków, czarem otaczającej go przyrody. Powoli jednak ta bez troska maleje. Poeta poczyną dojrzywać. Talent jego to przede wszystkim talent liryczny. Głęboko odczuwa melancholię i smutek jesieni lub pustkę. A czasami znów budzi się w nim fantazja, więc wędruje po światach dalekich (naturalnie palcem po mapie), zwiedza Afrykę i duma nad murami starożytnej Kartaginy. Później znów górę bierze pierwiastek religijny, więc pisze takie wiersze jak: „Madonna siejby“, „Modlitwa“, „Niech będzie pochwalony“ i najpiękniejszy z nich „Chrystus i dziewczynka“. Dział kończy się wierszem „Herwica“, w którym poeta precyzuje swój pogląd na poezję tymi słowami: „Poezjo na ulicę, między ludzi w tłum“... A więc poezja dostępna dla wszystkich nie tylko dla jednostek. Z całości zaś wynika, że Wierzyński w końcu zupełnie dobrze już odczuwa instynkt życia i umie się wczuć w jego tętno. Z tym doświadczeniem przechodzimy do następnego działu: „Wielka niedźwiedzica“.

Lata w których pisze poeta, to ostatnie przed wojną. Przechodzi on zbliżającą się zawieruchę wojenną i dlatego znika u niego ta przemożna radość życia, jaka go dotąd cechowała. — I rzeczywiście przechodzi wojna nadeszła i nad następnymi wierszami znajduje się napis: „Pisane w wojsku austriackim i w niewoli rosyjskiej“. Wiersze te cechuje bezbrzydny smutek, który tak się dalece potęguje, że poeta traci prawie ostatni dogmat jaki mu jeszcze pozostał i pisze: „Nie wiem, czy jesteś o Boże“. Potem znów napływa fala tęsknoty za domem za matką, za ciepłem domowego ogniska, które na tak długo utracił. Dalej następuje kilka wierszy z podróży. Podróże te, piękne krajobrazy powoli uspakajają rozigrane nerwy zbyt wrażliwego autora. Ton poezji Wierzyńskiego rwie się dalej ku życiu, lecz rozszerzył się zakres jego myśli i dojrzała jego mądrość. Zjawia się także zainteresowanie dla człowieka. Pisze teraz wiersze ogólniejszej natury. Dział kończy się wierszem pt. „Wielka niedźwiedzica“, w którym poeta lecąc na skrzydłach fantazji wsiada do „wielkiego wozu“ i wyjeżdża na podbój ziemi, na bóg śmiertelny. Tymczasem jawi się u poety kult wybranej, ukochanej kobiety i jej to Wierzyński poświęca następny dział pt. „Pamiętnik miłości“.

Dzieli się on na trzy mniejsze części. W pierwszej odzyskuje on znów dawną bez troskę i radość, ale na innym już tle opartą. Opartą na tle miłości. Oddaje się jej całym sercem i duszą, nic poza nią nie widzi. Wszystkie wiersze tylko jej i osobie ukochanej są poświęcone. W drugiej części Wierzyński wyczuwa, że tej jego jedynej światłości grozi jakieś niebezpieczeństwo i dla tego wiersze te pełne są niepokoju. Aż w końcu w samym już prawie punkcie kulminacyjnym, gdy poetę zaczyna powoli ogarniać rezygnacja, następuje gwałtowny zwrot i co się dalej działo powiedzą nam tytuły wierszy: „Pieśń weselna“, „Noc romantyczna“ i „Podróż do Włoch“. Pod koniec dzieła poeta wraca znów na szersze tory i przechodzi z poezji miłości do życia więcej realnego. Następuje nowy dział „Laur olimpijski“.

Tutaj Wierzyński zwraca się w stronę sportu. I słusznie. Sport w dzisiejszych czasach stanowi bardzo ważny moment życia, to też i jemu należy się osobny dział w poezji. Zrozumiał to dobrze Wierzyński pisząc ten cykl. Są tutaj przedstawione dzieje całej olimpiady ze wszystkimi biegami, skokami, rzutami it.d. Dział rozpoczyna wiersz: „Defilada atletów“. Na każdym kroku widzimy tu mistrza, odczuwamy cały artystyzm, z jakim oddaje on wszystkie ruchy zawodnika. Składa się na to cała masa wyrazów rucho i dźwięko - naśladowczych, użytych nadzwyczaj szczęśliwie. Poza tym do oddania czynności sportowca pomaga mu wybitnie rytm. Te wszystkie walory zjednały mu zasłużony „Laur olimpijski“. Na końcu dzieła spotykamy dwa wiersze - opowiadania: „Pieśń o Amundsenie“ i „Gaj Akademosa“. Z krainy sportu przenosimy się do następnego, szóstego z kolei dzieła pt. „Rozmowa z puszcza“.

Określenia puszczy nie należy tu chyba brać dosłownie. Sądzę, że poeta ma tu na myśli świat cały jako puszcza niezgłębioną. I ten charakter świata nasuwa poecie myśli o przemijaniu wszystkiego. Liryk stara się go jednak poznać. Wszystko inaczej nań oddziaływa. Owoce przypominają mu lata szczęścia, lata dojrzwania. Rzym ze swymi ruinami, tak jak jesień na Litwie wywołuje w nim smutek. Przykłady możnaby mnożyć. Wszędzie, w każdym z wierszy dochodzi Wierzyński do jednego: do nicości. Wśród tego rodzaju utworów spotkamy jeszcze niekiedy, tchnące nieco dawną bez troską, ale są to już wiersze bardzo rzadkie. Ukoronowaniem „Utworów zebranych“ jest dział „Pieśni fantastyczne“.

Tutaj liryk (bo nim z pewnością jest Wierzyński), zdobywa się na strofy bardzo silne i bolesne. Popatrzmy choćby na tytuły wierszy: „Film“, „Pieśń o suterynie“, „Pieśń o zgubie“, „Pieśń o szarości życia“, „Pieśń o nocach przespanych“, „Pieśń ze środka miasta“, „Pieśń szubienic“. Już one mogą nam dużo powiedzieć. Poeta zmuszony do przebywania wśród zamkniętych murów miasta, odczuwa boleśnie jego szarość i ubóstwo.

Przywykły do pól, do życia na łonie natury widzi w mieście życie niezwykle szare. Do tego więc dochodzi w rezultacie Wierzyński. Życie widzi takie, jakim ono rzeczywiście jest. Jako neorealista musiał do tego dojść. Co do stylu jego to można powiedzieć, że nie ma on nic wspólnego z modernizmem. Jest to styl samorzutny, żywotny, bardzo rytmiczny i wysoce plastyczny. Dziś Wierzyński zajmuje się raczej prozą. Wrażenie, jakie wywołują utwory Wierzyńskiego jest bardzo silne. Z radością się czyta pierwsze jego utwory. Wywołują one radość życia i napełniają nas wielką pogodą. Ostatnie utwory działają nieco przygnębiająco ale jest to nastrój nietrwały. W ogóle Wierzyńskiego można uważać za poetę młodości i sportu.

---

TADEUSZ NABZDYK

## Nad programem Szczublewskiego

Piszemy w „Promieniu”. Piszemy różnie, tak według frazesu: różni różnie. Mamy dwie kategorie piszących: jednych, piszących tylko po to, aby było wydrukowane nazwisko autora bez względu na wartość utworu, czyli sprawę traktuje się czysto po grafomańsku — i drugich, którzy starają się wydobyć ze siebie coś prawdziwego, wartościowego, wypracowanego, wydobyć ze siebie i dać innym. Nie znaczy to, by ci drudzy zapominali o sobie, bo wiedzą oni, że tylko takie pisanie przyniesie im jakies korzyści.

Kto chce pisać solidnie, musi oprzeć się na jakimś własnym lub przyswojonym programie.

Z takim — powiem od razu — trafnym programem wystąpił Józef Szczublewski jako doświadczony, bo starszy już od nas „pisarz”, w ostatnim swym artykule „promieniowym” „Płomień w „Promieniu”.

Spróbuję rozprowadzić ten program. Ogólnie chodzi w nim o to, aby nie pisać „lekką ręką”, lecz utwór przemyśleć i obrobić. To jest zasada programu.

Pisanie zaczyna się od pomysłu. Pomysł i chwilę pojawienia się tego pomysłu utożsamiam z tak czcigodnie zwanym natchnieniem, co do istoty i istnienia którego toczyć się mogą dyskusje. Uważam, że napisanie dobr. utworu opiera się na pomysłach i to 2 głównych: na pomysle tematu i pomysle ujęcia tego tematu. Pomysły tematu i ujęcia mogą powstać jednocześnie lub w pierw jeden, potem drugi (przeważnie zachodzi drugi wypadek).

Pomysł jest więc podstawą, osnową utworu. Jednak wielki błąd popełniłby autor, gdyby zaraz po uzyskaniu pomysłu, spisał sam pomysł i uznał go za utwór. Jest to małowartościowa łatwizna. Owszem, czasem nawet może to być utwór dobry, ale



nie jest to utwór prawdziwy i zazwyczaj wychodzi jakby niewykończony, bez właściwego oblicza, bez twarzy.

To też Szczublewski ujmuje sprawę tak: Mam pomysł, notuję go, notuję samą myśl; po pewnym czasie, jeżeli uważam, że pomysł dobry, w chwili dogodnej do pisania (natchnienie?) spisuję całą treść utworu tak, jak mi na język przychodzi a potem dopiero następuje sprawa najtrudniejsza. Trzeba treść okrzesać: dla każdej myśli znaleźć najwłaściwsze określenie, jakieś wyraziste wyrażenie, a każdą myśl wyrazić jak najkrócej, treść zbić w małą a dokładnie wypełnioną przestrzeń określeń, dążyć do kondensacji treści; do jędrności. Obrabiam, poprawiam, dodaję, skreślam. Wreszcie — mam. Gdy już mam, ostatni raz czytam cicho, aby wyłapać efekty (i może jakieś pozostałe błędy) treściowe i wyrażeniowe, potem głośno deklamuję, aby wsłuchać się w rytm, czy może gdzie nie szwankuje, nie zgrzyta. Po tych dwóch czytaniach można już utwór oczyścić do ostateczności z niedomagań. I — gotowe.

Dać do oceny jakiemuś koledze, który się zna na pisaniu. Szczublewski przezornie zaznaczył, że to warunek niekonieczny, bo rzeczywistość na przykład u nas w szkole znam tylko dwóch kolegów, którzy mogliby coś rzeczowego o utworze powiedzieć. Zresztą sąd kolegi jest zawsze względny.

Powiedziałem, że obróbka treści to sprawa najtrudniejsza. Jako przykład przytoczę moje niedawne przeżycie: Wpadł mi kiedyś pomysł na jakiś wiersz. Pomysł miałem. Zanotowałem sobie główne myśli. I główne myśli miałem, ale nie mogłem tego ująć jakoś solidniej. Byłem wściekły. Chodziłem z tym pomysłem, kombinowałem i — nic. Jednego dnia zasiadłem do pisania. Napisałem, ale wyszło nieudolnie, chociaż miałem teraz przynajmniej całą treść. Byłem wściekły. Dopiero gdy któregoś dnia później zabrałem się do pisania, lepiej szło, obrobiłem i — wyszło.

Szczublewski całe tworzenie rozłożył na kilka określonych okresów czasu a więc:

wpierw pomysł,

po 2 tygodniach ocena pomysłu,

potem czekanie na odpowiednią chwilę do pisania („natchnienie“)

na z a j u t r z po napisaniu — obróbka

tego samego dnia p o p o d w i e c z o r k u i a l e i — czytania.

Uważam, że te okresy czasu nie są istotne w programie (wszystko można zrobić w innym, dowolnym czasie), sam autor jest zapewne tego samego zdania i może tylko dla jaśniejszego podziału czynności, rozłożył on je na poszczególne okresy czasu. Istotą programu jest obróbka utworu a poprzednio jeszcze uchwycenie i wykorzystanie chwili odpowiedniej do pisania („natchnienia“).

Program kończy się słowami: „a wreszcie schowaj to dla siebie, albo daj do druku“. Tu mam także maleńkie zastrzeżenie. Jeżeli bowiem coś napisałem, i napisałem dobrze, powinieniem — uważam — dać to do druku, a nie chować dla siebie, chyba, że chcę schować utwór po to, aby go dać później do druku, albo wiem, że utwór jest taki, że cenzura skonfiskowałaby go.

Zresztą jeśli chodzi o mnie (przepraszam, że tak wysuwam swą niegodną personę), piszę dla innych, innym daję swe myśli, bo dla siebie samego wystarczy mi myśleć, nie potrzebuję spisywać dla siebie własnych myśli, które i tak dobrze znam. (Nikt nie musi zgadzać się z tym moim sądem!)

Trafny — jak zaznaczyłem — program Szczublewskiego jest całkiem realny nawet w szkole, gdzie główną przeszkodą realizacji programu jest to, że pisanie trzeba traktować jako zajęcie uboczne, nadprogramowe, czasu na pisanie dużo nie ma. (A propos traktowania pisania: pisanie można traktować jako zajęcie uboczne, ale nigdy jako rozrywkę!)

Ze program Szczublewskiego jest dobry i realnie przemyślany i że stosowanie go przynosi pożądane wyniki, najlepszym dowodem jest samego Szczublewskiego „Płomień w „Promieniu““, w którym jest masa treści przy najmniejszej ilości słów, starannie dobranych i tak czasem uchwytłych, że zdaje się, że można myśli chwytać i — gryźć.

Szczublewski w swym artykule sam wyraził się, że program był piękny, i miał rację, bo program, chociaż pięknie trudny, jest na prawdę realny i — piękny.

---

REISING RYSZARD

## Pieśń człowieka:

(„Niebieski ptak“)

Gdybym był taki mały,  
Gdybym był taki maleńki.  
I życie zmieścił w pyle,  
W — nucie zbyt długiej piosenki —  
W — szarym, pożółkłym liściu.  
W — zlepku przydrożnych kamieni  
W — tynku, co z murów odpada,  
W — kroju, co modę już zmienił.  
Gdybym się stał niemodny  
Modą, co dawno już zgasła,  
Gdybym był jedną literą.  
Już przekwitłego hasła, —

Wiosna by szła i wibrem  
Wdzierałaby się w pyły...  
Zmartwychpowstania grzmiała  
Hejnał — na łez mogiłach.

Prężyłbym ramię kipiące  
Ukrytą, tajną mocą...  
— Na pyłach pajęczy się słońce,  
Atomy rentgenem złoci

Promień mi w serce cieknie  
A w oczach jest cicho i świetlnie...

Gdybym był Diogenesem  
Albo co najmniej podczłkiem,  
To miałbym słońca z kretesem.  
Dziś życia mam weksle i czeki

Dniem niejasnym, jak: nie wiem —  
Nie śpiewałem: (żałuję...)  
„Siedzi ptaszek na drzewie  
I się ludziom dziwuje...”

---

JACEK JASIŃSKI

## Surya Dil

Następnego dnia po seansie w Teatrze Miejskim udałem się do p. Surya Dil, którego polskie nazwisko i imię brzmi Jerzy Wołoszczuk, by dowiedzieć się nieco szczegółów z jego życia.

Po wzajemnym przedstawieniu się, usiadłem, obok mnie p. Surya Dil.

Proszę pana — zapytałem — w jaki sposób dostał się pan, Polak do tak odległych stron, a może przedtem jeszcze, co pana skłoniło do udania się do Indyj?

— Otóż — zaczyna p. Surya Dil — pewnego razu, gdym chodził jeszcze do gimnazjum we Lwowie zdarzyło się, że mojego kolegę bolały zęby. Ponieważ dużo słyszałem o silnej woli, przy pomocy której cudów można nieraz dokonać postanowiłem spróbować, czy i ja ją posiadam. Kolega ten stanął przy murze, ja skupiłem się i rzeczywiście po chwili skonstatowałem, że go już zęby nie bolą. Takie wypadki leczenia przeze mnie zdarzały się często. Wreszcie tą sprawą zainteresowała się pewna hrabina, która była niezwykle bogata i ta postanowiła wysłać mnie na swój koszt do Indyj. Była jednak ta trudność, że do klasztorów w Indiach nie mogą się dostać nie będący Hindusami. Hrabina ta jednak przez swoje znajomości dowiedziała się, że we Lwowie przebywa jakiś wpływowy Hinduś. Podczas rozmowy z nim,

zapytała go, ile trzeba zapłacić, by dostać się do takiego klasztoru. Hindus ów nie chcąc odpowiedzieć hrabinie wręcz, że Europejczyk tam nie może się dostać, powiedział fantastyczną sumę 800 tysięcy marek. Hrabina natychmiast wypłaciła tę sumę, a wtedy Hindus nie mógł czy nie chciał się już cofać i w ten sposób wyjazd mój do Indyj został zdecydowany.

— Proszę mi teraz powiedzieć, kiedy pan do Indyj wyjechał, ile pan tam lat przebywał i kiedy pan wrócił do Ojczyzny.

— Wyjechałem do Indyj w roku 1920-tym, t. zn. miałem wtedy lat 17-ście, i przebywałem tam przez 9 lat. 4-ry w Benares nad świętą rzeką Ganges, a pięć w Delhi, również nad Gangesem. Potem pojechałem do Europy, byłem w Londynie, gdzie wykładałem filozofię, w Paryżu, Berlinie, Czechosłowacji, a 21 listopada 1936-go roku wróciłem do Polski.

— A w jaki sposób pan tam się kształcił. Przecież pan nie znał języka hinduskiego?

— Tak. Musiałem się dopiero tego języka nauczyć. Z początku uczyłem się alfabetu. Dla Europejczyka jest to niezwykle trudne.

— Może mi Pan teraz opowie coś o tym klasztorze, gdzie pan przebywał.

— Dobrze. Na początku jednak zaznaczę, że nie tylko są tam klasztory. Są również i inne szkoły zawodowe. Trzeba bowiem panu wiedzieć, że klasztory przygotowują ludzi do stanu duchownego. Klasztor stoi w ogromnym ogrodzie, w którym jest wszystko, co jest potrzebne do gimnastyki i uprawiania sportów.

— A teraz trochę może o programie nauczania i trybie życia?

— Program prawie zupełnie nie różni się od tego w Polsce. Jednakże oprócz godzin, że tak powiem nauk ścisłych, mamy jeszcze prace ręczne, szycie i gotowanie; oraz szachy. Nauka jest traktowana poważnie i głęboko.

Wstaje się ze wschodem słońca. Potem następuje modlitwa, śniadanie, spacer, ale tylko po parku i nauka. Następnie jest obiad, spoczynek, a spać idzie się z zachodem słońca.

Sport uprawia się, ale nie dla rekordów, nie dla wyczynów, ale dla zdrowia. Traktuje się go jako zabawę i dlatego ten sport daje rzeczywiście zdrowie.

Przez sześć dni pracuje się, a siódmy dzień, niedziela jest wolny i wtedy idzie się do kościoła. Podczas mszy nie grają organy, lecz wszyscy śpiewają.

I teraz p. Surya Dil zaśpiewał. Popłynęła melodia jakaś odębna od naszych, pełna rytmu i orientalnych motywów.

Byłbym się jeszcze o dużo rzeczy pytał, lecz wiedziałem, że na korytarzu czekają chorzy, którzy potrzebują pomocy. Podziękowałem więc i uściśnawszy dłoń — wyszedłem.

## Idzie sobie licealista

(Wycinki auto-biograficzne)

W dzień urodzin, to jest n-tego lipca 1922 roku, byłem jeszcze bardzo małym i równie bodaj nieudolnym chłopięciem, które nie tylko czytać i pisać, ale nawet słowa po polsku wybełkotać nie umiało.

Po kilku już tygodniach mego tu bycia, zawarłem jaką taką znajomość ze swą osobą: znałem geograficzne położenie takich rzeczy, jak: nos, ucho, oko!

Wnet odkryłem, że przedmiot, który mi służył do ucierania nosa i bicia w krzesło — to moja własna ręka.

Chodziłem — na przykład — do ślicznego ogrodu. Stoję przy cienistym krzewie, patrzę w jego cieniste podnóże, kędy się schodziły gałęzie i gdzie nic, prócz tajemnicy dojrzeć nie umiem. Dziw, co tam się kryje u tych stóp uroczych? Czy jakaś bardzo głęboka studnia, czy obszerna, jasna pieczara, czy inny może świat z łąką zieloną bez końca i z lasem bez końca? Bo, że nie taka sobie zwykła ziemia, to już od dawna wiedziałem. Idzie, idzie z pod krzaczka ślimak i coś zaszemrało w liściach. Nie w liściach! To w owej krainie ruch. To woda jakby — szumi, to słychać rozmowy krasnoludków.

Ktoś się dokoła mnie wieczorami krzątał. Znikały wszelkie przeszkody (aż do krzesel, stojących w drodze — włącznie), obiad zawsze był i kolacja też i śniadanie. Starsza siostra mówiła na tego „Ktosia“ — Mama.

Przyzwyczaiłem się do Mamy. Ale mały Rajmuś — był zły. Bywało, Mama udawała, że mnie bije, bo byłem niegrzeczny. Ja już myślałem — jak się zemścić. No, bo jakim prawem mnie ktoś bije?!

Bywało i gorzej, że sam Mamie wymierzałem, okrutnik, „sprawiedliwość“, motywując: „A czemu Mama była niegrzeczna?“ — Wtedy wstawał Tatusi, by bronić Mamy, a ja doznawałem strachu, graniczącego z obłądem. — Mama zawsze była wśród nas, że aż dziwno. Co Ona robiła cały dzień? Dla mnie próżnowała. Bo ja, to przynajmniej raz po raz zbudowałem coś: no choćby ten most żelazny z kartonu. Gdy więc Mama dostała coś dobrego, ja zaraz: „Że Ona może, choć nic nie robi, a ja to nie!“ — Mama się uśmiechała i prosiła o coś Tatusia, który już ruszał wąsami. Jednym słowem: Mama miała się stanowczo za dobrze.

Szkoła powszechna. I ją pamiętam, bo ją wbijano w pamięć za pośrednictwem trzciniek, wiotkich jak baletnice i całą noc moczonych. Wszystką mają wdzięczność ku szkole powszechnej ofiaruję w ręce czcigodnego, mojego ostatniego tam opiekuna. On to sprawił, że los w osobie Tatusia, zaprowadził mnie w te nasze szare mury.

Na egzaminie podobali mi się... starsi koledzy, wężale brodacu, którzy łagodnie(!) brali mnie za ramiona, pytając: „Cóż mały, jak ci się powodzi?“ — Bodaj, czy nie pocałowałem kogoś w rękę, gdy mi takową dał na pożegnanie. Gdy później ciż sami ryczeli z górnych pięter, ileż wtedy więcej wielbiłem ich siłę i marzyłem o podróży — tam — do góry, gdy dorosnę.

Jakoż nie długo czekałem. Już w pierwszym półroczu znałem całą lewą stronę drugiego piętra. Na prawą nie szedłem, by nie zostać gdzie przez pomyłkę rozdeptanym. Nie zaś o życie me chodziło, ale o gniew, w jaki musiał wpaść olbrzym, poślizgnąwszy się na nędzniku.

Tego w powszechnej nie było. Wszyscy koledzy umieją mlaskać językiem i to głównie w pobliżu tych innych chłopców, na których się mówi — dziewczynki. Po co oni mlaskają? Była to dla mnie kwestia równie trudna, jak z owym cieniem u stóp krzewu.

Ale, że czułem, iż wiem mniej niż oni — więc i ja się uczyłem mlaskać w podobnych sytuacjach. Mlaskaliśmy i gwizdaaliśmy i mówiliśmy: „Ach, jaka koleżanka dziś piękna... pogoda“.

Koledzy gdzieś chodzili, skąd wracali upojeni. I ja zacząłem chodzić. — No, bo jeśli tyłu to czyniło, na pewno mieli słusność.

Chodził biedny człeczyna za „warkoczowatymi“ Niusiami i „okularowatymi“ Stasiami, zrazu tak, jak się chodzi za wielbłądem z cyrku „Staniewskich“. Do czasu jednak, gdy nieszczęsny wielbłąd — odwrócił się i wyrzekł pierwsze słowo. Pamiętam, ono brzmiało jak cytry dźwięk, rozpałało serce. Powiedz, czy nie tak?

Wieczne: „Nie mam czasu(!)“ — to nie ja mawiałem, tylko poturbowane serce, które to kazało wałęsać się ulicami, by jeszcze jedno choć wejrzenie pochwycić i wrócić do domu z pustką wewnętrzną. Zniszczenia dopełniały: „Ta ostatnia niedziela“ — „Już nie kocham cię!“

Nauki uczciwej nie było. Notatki istniały dla sumienia i dla profesora, lecz nie do czytania(!).

W każdym z nas budziły się myśli jakoś lepsze, wnet stłumione przez brak decyzji. Wyczołgać się z tamtego życia — to był wstyd, dziwactwo i... ból.

Egzamin licealny. Wakacje, bardzo długie wakacje. Liceum. Twarde krzesła, stoły, dwudziestu pięciu twardych kolegów. Szczere spojrzenie w przeszłość, odczucie braków prze-



Czy to szlachetne oblicze Rajmunda Fiksiniego nie mówi samo za siebie, że tylko tak wyglądający człowiek może być skarbnikiem „PROMIENIA” — (rys. M. Kołodziej)

ogromnych, znikczemnienie duchowe — to kazało pomyśleć nad niejednym. Czło się zachmurzało co raz bardziej. Tak to mały licealista zbłądził do — kościoła, bo tam podobno chodzą, którzy chcieliby odmiany.

Dawniej wiedziałem tylko — że mam Mamę. Teraz, że Ona jest bohaterką, a ja nędzarzem. Teraz — dowiadywałem się, co Ona mianowicie czyni przez cały dzień. Wstawała najrychlej, bym ja mógł, wstawszy, najeść się i nie spóźnić do szkoły. Ona prała, prasowała, pomywała, czyściła, szorowała, nakrywała, sprzątała, gotowała. Ona to zawsze schody wymyśla, nawet w te mroźne zimowe wieczory, gdyśmy się ciepło owijali i za 140 zł nosa by żaden nie wytknął. Ona była szara, skromna, niewymagająca, nawet mała. Ale ogromnym było dzieło Jej pracy. W tym trudzie zniszczyła ręce, ale nie Ona to powiedziała. To myśmy sami spostrzegli. Była geniuszem — bez sławy, bohaterem — bez lauru.

Już wtedy nigdy nie mówiłem: „Ach, Mama wszystko może, a ja nie“ — albo: „Niech sobie to Mama sama zrobi!“ — bo wiedziałem, że gdybym sto razy pożytecznej dzień spędzał, niż dawniej, nie zrobiłbym tego, co Mama w godzinie.

Ujrzałem, jak nędznymi stworzeniami są owe Krzysie, Janki, Oleńki i Kazie — gotowe układać całe systemy filozoficzne, byle z nich wynikało, że one dobrze czynią, będąc przysłowiowymi „motylkami“ w naszym życiu.

Idzie licealista. Idzie sobie po ulicy. — Trzewiki stare i płaszcz na nim, cenny dziś zabytek historyczny. Wszystko na nim stare. Tylko w nim już nie wszystko stare.

---

TADEUSZ NABZDYK

## Tworzenie

Motto: Plenus venter  
non studet libenter.

Dość dawno już nie jadłem  
I już mam pusty brzuch,  
Więc pisać mogę ładne  
Wierszyki dla cnych głów.

Bo przecież, gdy brzuch próżny  
I gdy w nim nie ma nic,  
To umysł się do służby  
Pozwała łatwo wwić.

Bo przecież wielcy ludzie  
Tworzyli wiele dzieł,  
Kiedy nie mieli w trudzie  
Co włożyć na swój kiel.

Dlatego mam nadzieję,  
Że stworzę dzieło snów,  
Gdy teraz pustką zieje  
Mój — wygłodniały brzuch.

---



HENRYK SZYMAŃSKI

w oparciu o „Zagadnienia gospodarcze Polski  
współczesnej“ Tadeusza Sławińskiego.

## Człowiek gospodarujący w Polsce

Dużo już słyszeliśmy o bogactwach naturalnych, o różnych bogactwach kopalnianych, o różnych surowcach. Z wielkim zainteresowaniem czytamy często w dziennikach o odkryciu nowych złóż węgla, czy też nafty. Ale musimy pamiętać o tym, że bogactwa naturalne, nawet największe, nic nie znaczą, jeżeli człowiek nie umie ich wykorzystać. Niech za przykład posłuży nam Dania, Szwajcaria, Finlandia. Dania posiada bardzo mało bogactw naturalnych, ale jej gospodarka przedstawia się nam imponująco. Fakt ten zasługuje na uwagę tym bardziej, że nie jest ona państwem, które może wywalczać sobie korzyści dzięki swej przewadze politycznej. Drugim przykładem (dla kontrastu) niech będzie Rosja, która przy swych dużych bogactwach kopalnianych, nie stoi na miejscu odpowiednim, której ludność znajduje się w bardzo prymitywnych warunkach życiowych.

Te dwa przykłady dobitnie podkreślają ten fakt, że największym bogactwem danego kraju jest człowiek gospodarujący. Chcąc dobrze rozpatrzyć zagadnienie człowieka gospodarującego u nas, musimy zapoznać się z charakterystyką Polaka. Posiada on swoje zalety i swoje wady. Głównym rysem charakteru Polaków jest to, że zasadniczo nie posiada on chęci bogacenia się. Najlepiej o tym fakcie mogą nas poinformować nasze własne plany na przyszłość. Młodzieniec dzisiejszy nie marzy o tym, aby być przedstawicielem czy szefem wielkiego przedsiębiorstwa, dyrektorem banku czy domu handlowego. Marzy on raczej o tym, aby być inżynierem, technikiem, czy też oficerem. N. p.: absolwenci szkół handlowych zajmują bardzo często posady w urzędach i biurach.

Wyżej cenią oni taką posadę, niż placówkę więcej samodzielną, jaką jest własny mały sklepik. Samo pojęcie bogactwa u nas Polaków jest rozumiane jako możność dobrego jedzenia, ubierania się, chociaż główną cechą bogactwa jest możność kierowania masami ludzi i operowania wielkimi dobrami gospodarczymi. W Polsce istnieją nawet tendencje potępiające dążność do tej formy bogactwa, chociaż powinny być w społeczeństwie jednostki, których pasją będzie zdobywanie dóbr gospodarczych.

To pognębienie „karierowiczów“ (jak ich się nazywa) ma już swoje źródło daleko w historii.

Mianowicie wielki wpływ na opinię publiczną wywiera dawna szlachecka niechęć do rzemiosła, handlu i przemysłu. Te wpływy zostały podtrzymane przez fakt, że przemysł nasz pozostawał w głównej mierze w oparciu o kapitały obce. Tak n.p.

ściąganie do kraju kapitałów zagranicznych uznane jest za rzecz pożyteczną, lecz ocena uczuciowa gani ocenę rozumu, że lepiej jest budować przemysł w oparciu o własne kapitały, chociaż było ich zbyt mało. Ale przejdźmy do samej charakterystyki człowieka gospodarującego w Polsce.

Największą zaletą Polaka jest pomysłowość, która ujawnia się przy ułatwianiu sobie pracy przy jej wykonywaniu. Dlatego robotnik polski jest uważany za pracownika bardzo inteligentnego. Drugą cechą charakterystyczną jest ambicja. Wiele słyszeliśmy o t. zw. „słomianym ogniu“. Lecz czy historia nie dała dosyć przykładów, które przeczą temu wyrażeniu? Dużo słyszeliśmy o zacięciu się, o wytrwałości chłopca polskiego. Dzięki tej ambicji polskie jednostki zdołały się wybić na obczyźnie. Tak samo przesadne są wieści o rozrzutności Polaków. Przysłowie: „Zastaw się a postaw się“ nie jest mądrością ale właśnie niebezpieczeństwem narodu, dlatego, że prowadzi ono do zbyt wielkiego uogólnienia.

Te zalety, które tutaj przytoczyłem mogą nam powiedzieć o tym, że człowiek gospodarujący w Polsce jest największym bogactwem kraju. Jeśli wychowanie było u nas dotychczas zbyt jednostronne, obecnie uległo ono przeobrażeniu w myśl zasady: dobry obywatel, dobre społeczeństwo, dobre stanowisko w zespole innych społeczeństw.

---

L. W. HOŁDOWSKI

## Historia tworzenia siły zbrojnej

Pod koniec X stulecia, tak u Franków, Germanów jak i u Słowian, istniał powszechny obowiązek służby wojskowej w czasie wojny, t. zw. pospolite ruszenie, zwoływane przez władcę. Prócz tego posiadali jednak władcy wojsko stałe. Drużyna Mieszka I. liczyła 3 000 ludzi. Jak na ówczesne warunki, liczba ta była duża. W tym czasie ustala się na zachodzie Europy system lenniczy. Bolesław Chrobry nadawał już członkom swej drużyny ziemię, za obowiązek służby.

Wynikiem upadku rycerstwa w XII i XIII wieku na zachodzie, było werbowanie wojsk zaciężnych. Ta sama ewolucja dokonuje się w Polsce sto lat później. W „Statucie Wiślickim“ Kazimierz Wielki zobowiązał pospolite ruszenie do służby bezpłatnej tylko w kraju; poza granicami natomiast miało być odpłacane. Od tej chwili pospolite ruszenie było skazane na likwidację.

W wieku XVI następuje przełom. Gustaw I. Waza wprowadza w Szwecji system rekrutacji. Sejm uchwalił rekrutów na trzy lata. W tym samym czasie Iwan Groźny tworzy korpus gwardii wojska stałego, składający się z 12 000 strzelców. W Polsce Sejm Piotrkowski w 1562 r. uchwała egzekucję dóbr i prze-

znacza dochód na utrzymanie wojska. Odtąd posiada Polska około 6 000 żołnierzy — słynna piechota kwarciarna Zygmunta Augusta. Teraz następuje okres tworzenia wojsk stałych. Gustaw Adolf udoskonala w Szwecji system kadrowego rekrutowania w razie wojny okręgami. Stefan Batory reformuje polską siłę zbrojną i wprowadza piechotę łanową. Na początku XVII stulecia, Władysław IV zaprowadza t. zw. autorament cudzoziemski. W tym czasie armia stała we Francji za Ludwika XIV dochodziła do 100 000 ludzi. W r. 1793 Napoleon wymusił na senacie prawo, że on osobiście będzie oznaczał roczny kontyngent i zwiększył stan armii do 800 000.

Po traktacie tylżyckim, kiedy Prusy musiały zredukować liczbę wojska stałego, minister wojny Scharnhorst wprowadził system, polegający na tym, że wyszkolonych żołnierzy urlopowano, a na ich miejsce powoływano innych. Był to początek dzisiejszego systemu, powszechnego obowiązku służby wojskowej. Korzyści tego systemu uwydatniły się najlepiej w roku 1870 w wojnie francusko - niemieckiej. Podczas, gdy Niemcy wystawiły 300 000 żołnierzy, Francja mogła wystawić tylko 400 tysięcy. Wprawdzie na wezwanie Rządu Obrony Narodowej stanęło 800 000 pod bronią, ale nie żołnierzy.

System zapoczątkowany przez Scharnhorsta, przyjął się do roku 1914 przez wszystkie niemal państwa. Dzisiaj objawiają się tendencje następujące: zaprowadzenie obowiązkowego przysposobienia wojskowego młodzieży, skrócenie czasu służby czynnej i tworzenie potężnych rezerw.

---

NOGAŁA MARIAN

## Sen o walce

Bim, bam . . . . Która to też godzina? Liczę: 1, 2, 3, . . . . 10. Już dziesiąta, czas spać. Odkładam książkę, którą czytałem i zabrałem się do rozbierania. Po pewnym czasie już leżę w miękkiej pościeli. Rozmyślam o grożącej wojnie, która może wywołać wielkie spustoszenie wśród ludzi. Wielkie masy ludności zginą od gazów trujących, bomb różnego gatunku i kul karabinowych, a także armatnich.

Zasypiam z myślą o wojnie. Śpię, lecz wątek myśli nie przerywa się.

Cisza.

Tra-ta-ta. Tra-ta....

Wicek — wołam — słyszysz głos pobudki?

Słyszę!

Idziemy do boju!

Baczność!!!

Stajemy rzędami wśród pól na tle obozu.

Kolejno odlicz! — pada komenda.

Po odliczeniu udajemy się na dworzec.

Pociąg rusza.

Cały pociąg drży od śpiewu, który płynie z piersi młodzieży, pełnej zapału do walki.

Cisza.

Bum! Tak, tak, tak, trajkocze karabin maszynowy. Huk dział, szcęk karabinów, warkot samolotów nie ustaje.

Marych, bierz go na cel! — woła Wicek.

Uważaj! — odpowiadam.

Celuję chwilę... Zgrzyt karabinu. Nieszczęsny wróg, który chciał rzucić granatem, leży martwy.

Dobrze się sprawiacie!

Oglądam się. Dowódca stoi za mną z miłym uśmiechem na ustach.

Dobrze, — szepnął — i odszedł.

Atak samolotów! — grzmi głos komendy.

Prędko chowamy się w jamy, które już w nocy przygotowaliśmy, by ochronić się od odłamków bomb burzących.

Wstrząsy i huki bomb pękających nie ustają.

Ale się tam w powietrzu walą porządnie!

Nie długo już będzie koniec ataku.

Skąd wiesz? — pytam.

Nie słyszysz? warkot cichnie...

Do ataku! Na bagnety!

Biegniemy z bagnetami na karabinach do walki o wolność naszej „Matki Ojczyzny“.

Za mną chłopcy, śmiało! — woła komendant.

Naprzeciw nam biegną wrogowie, z obliczem chmurnym i pełnym złości.

Szcęk broni... huk jakiś... świat się kotłuje...

Walczę. Odbijam ciosy, atakuję w tym chaosie, który można by nazwać piekłem.

Cisza.

Jak nas z tego rowu wywałą, zgineliśmy — mówi Wicek.

Co, wątpisz w nasze siły?

Nie! Ale popatrz ilu nas zostało?!

Dosyć, by wstrzymać wroga.

Drzę cały. Jestem spocony od stałego wysiłku. Leżę na ziemi, której nie oddam, póki życia starczy. Karabin mój stale zgrzyta, wyrzucając kule, które wśród nieprzyjaciół robią spustoszenie. Obok mnie leży mój towarzysz, Wicek.

Podniosłem się, by lepiej widzieć pole, gdy w tem...

Ziemia się wali, spadam w czarną otchłań... cisza.

Marych, Marych — szepce Wicek.

Otwieram oczy.

Widzę smutną twarz towarzysza, który wpatruje się w moje oczy, aby rozniecić we mnie iskrę gasnącego życia.

## **RECENZJE — SPRAWOZDANIA**

M. DUCZMAL

### **SPRAWOZDANIE Z 10-LETNIEJ DZIAŁALNOŚCI KOŁA L. M. K.**

(Ciąg dalszy)

Cała działalność Gimn. Koła L. M. K. rozpadała się zasadniczo na dwa działy:

1 — o propagandę tych wszystkich idei morskich i kolonialnych, jakie L. M. K. wzięła sobie za zadanie,

2 — o popieranie rozbudowy polskiej floty handlowej i marynarki wojennej.

Głównym czynnikiem propagandowym były zebrania ogólne, które odbywały się co miesiąc. One to przez wygłaszane referaty, nad którymi dyskutowano, uświadamiały członkom ważność dostępu do morza, wskazywały na korzyści stąd wypływające a często przypominały nam jasne chwile polskiej floty wojennej. Z biegiem czasu referaty urozmaicano przezroczami a nawet na tych zebraniach miesięcznych wyświetlano filmy, które zaznajamiały nas bliżej z morzem i jego pięknem, z czarem ziemi pomorskiej, ze zwyczajami i życiem Kaszubów, które przedstawiały nasz dorobek na morzu i które wpajały w nas to przekonanie, że Polska rzeczywiście dużo postąpiła naprzód. Przez migawki morskie, wprowadzone przed kilku laty, dowiadaliśmy się wszystkich nowości związanych z morzem. Prócz tego zwrócono uwagę szczególnie w tym roku na artystyczny charakter zebrań, co osiągnięto przez deklamacje, recytacje, muzykę czy śpiew. Na tych zebraniach nie tylko poznawaliśmy historię naszej marynarki, nie tylko doszliśmy do wniosku, że polityka lądowa naszych przodków była błędem a powiedzenie: „Może nie wiedzieć Polak co to morze, gdy pilnie orze“ bezpodstawne, lecz nauczyliśmy się kochać to polskie morze. Przez te zebrania morze przestało być dla nas strasznym, natomiast stało się czymś drogim i bliskim.

Czego nie mogły dać wyczerpująco zebrania, to uzupełniała lektura. L.M.K. pragnąc należycie naświetlić swym członkom całokształt zagadnień morskich utworzyła własną bibliotekę, ustawicznie rozwijającą się, z której czerpie wiadomości wielu kolegów. Prócz książek i broszur Koło nasze dostarczało i dostarcza swym członkom ilustrowanych pism jak: „Od naszego morza“ i „Morze“, prenumerowanych często w kilkudziesięciu nawet egzemplarzach.

Nie zadowoliło się Gimn. Koło L. M. K. tylko pracą wewnątrz swej organizacji, nie wystarczało mu wpajanie nowych prawd w umysły samej młodzieży, więc wystąpiło ono na szerszą arenę, samorzutnie zwiększyło swój zakres działania i wyszło poza obręb swej organizacji a później poza mury naszego gimnazjum. Już od najwcześniejszych lat istnienia, członkowie Koła publikują często swe artykuły na łamach gimnazjalnego „Promienia“. „Orędownika Ostrowskiego“, a nawet w miesięczniku „Morze“. Propaganda wśród starszych, poznawanie morza i obalanie starych przesądów odbywało się także inną drogą a mianowicie przez odczyty z przezroczami i filmy.

W celach wybitnie propagandowych urzęda corocznie nasze Koło ciekawe i z pietyzmem przygotowane akademie morskie tak dla szkół, jak i dla ogółu społeczeństwa, które nie zawsze tę akcję należycie popierało.

O ile pisma, odczyty i akademie wykazywały pracę L. M. K. na terenie Ostrowa i okolicy, to Sekcja Kajakowa, nazywana także Zeglarską rozniosła imię naszego Koła po całej prawie Polsce, ona przyniosła nam wiele zaszczytnych momentów i zapisała się złotymi literami w historii Koła

Sekcja Kajakowa powstała w dniu 26 października 1931 roku. Głównym jej zadaniem jest krzewienie sportu wodnego i uświadamianie o

konieczności posiadania dostępu do morza. Pierwszym jej kierownikiem był Zbroisław Muszyński, który dzierżył to stanowisko przez trzy lata. Za jego kadencji sekcja przechodzi gwałtowny rozwój. Mimo wielu trudności tak finansowych, jak terenowych (brak większej rzeki) wykazywała ona coraz większą żywotność, jednoczyła w swych szeregach coraz większą liczbę młodzieży, powiększała z roku na rok swój tabor i osiągała nowe sukcesy.

Najbardziej ożywioną działalnością mogła poszczycić się Sekcja Kajakowa w roku 1932. Wtedy bowiem za wycieczki Sekcji na Polesie wraz z wycieczką ks. prefekta Ziemskiego w góry, przyznano naszemu zakładowi „Błękitną Wstęgę Kuratora“. Był to szczytowy punkt w życiu Sekcji. Nie stanowi to, żeby Sekcja K. była poza tym bezczynna i spała. Wystarczy tylko wspomnieć dalsze wycieczki na Polesie i Wileńszczyźnie, cieszące się największym uznaniem i co roku prawie wznawiane, wycieczki kajakowe do Gdyni, po Wielkopolsce, Pomorzu i wiele innych, aby przekonać się o niesłuszności tego zdania. Nie ma prócz Dniestru, żadnej większej rzeki, która by nie niosła kajaków z banderą i znakami naszego ośrodka. Nasi kajakowcy znani są wszędzie: na błotnistym Polesiu, na dalekim Wołyniu i Wileńszczyźnie, pełnej jezior, na piaszczystym Mazowszu i pofałdowanym wzgórzami moren czółowych Pomorzu. Nie są oni obcy w żyznej Lubelszczyźnie i wyżynnej Małopolsce. (Dokończenie nastąpi).

---

TADEUSZ NABZDYK

### „WÓZ DRZYMAŁY“

(Jeden „wóz“ i dwa szlachetne cele).

Każde amatorskie przedstawienie teatralne rozpoczyna się „na wewnątrz“ od skomponowania trupy aktorskiej a na zewnątrz od plakatów reklamujących. Jako widz znałem tylko stronę zewnętrzną i dlatego rozpoczynam od plakatów.

Pierwsze przedstawienie „Drzymały“ dawanego przez Gimnazjum Kupieckie zostały poprzedzone plakatami ręcznie wykonanymi, stylowymi, modernistycznymi, odznaczającymi się dobrą kompozycją.

Ze sposobu wykonania plakatów wynikało, że wykonano je samo Gimnazjum Kupieckie. Styl handlowki jest już ustalony.

Drugiego rodzaju plakaty, które ukazały się przed przedstawieniem na budowę nowego kościoła (bo „handlowka“ przeznaczyla dochód z pierwszych przedstawień na FON a z drugich na kościół) były drukowane. Plakaty małe, układ prosty, nowoczesny, celowa oszczędność linii, wiadomość podana zwięźle, jasno. (Dają głowę, że plakat ten projektował ks. Leciejewski!).

To było przed a teraz, co było w czasie przedstawienia (okoliczności złożyły się na to, że byłem dwa razy na tym przedstawieniu).

Orkiestra grała i przed i w czasie, dlatego wpierw muszę o niej z satysfakcją wspomnieć. Grała świetnie a nawet śpiewała całkiem ludowo.

Przedstawienie rozpoczęło od odegrania „Roty“, co wprowadziło odpowiedni, poważny nastrój i nastawienie.

Pierwszą odśłonę poprzedził prolog a właściwie dwa prologi. Pierwszym była historia Drzymały, którą przedstawił kol. Więcek. Mówił głosem spokojnym, bez specjalnego patosu. Raził kilka błędów w samej treści przemówienia (niepotrzebny był przesadnie dokładny adres Drzymały; jak mógł Drzymała prowadzić gehennę, gehennę można przechodzić, przeżywać, ale prowadzić? dalej prelegent twierdził, że nie pomogły zmysły hakatystów, zamiast: zamysły).

Właściwy prolog wygłosiła piękna, barwna krakowianka z długimi, czarnymi warkoczami (kol. Nowakówna). Deklamowała dźwięcz-

nie i wdzięcznie, wiernie oddała wierszowy rytm, który często przy deklamacjach zanika. Wrażenie tego prologu szczególnie miłe.

Dekoracja pierwszej odsłony prosta ale dobrze skomponowana, stosowna do treści.

Najlepiej z całej trupy grał Drzymała (kol. Sobczyński). Ruchy wybitnie chłopskie, gwara i głos starego chłopca zachowane przez całe przedstawienie. Drzymała doskonale oddał w odpowiednich chwilach zdumienie, uniesienie, rezygnację, upór... Naturalnie „wyszedł“ kaszel Drzymała był więc najlepszy; popełnił tylko jeden błąd: zbyt mocno przesadnie zaczął się, sylabizując mandat karny. Wywołało to śmiech na sali i ośmieszyło w danym momencie Drzymała, co ze względu na to, że Drzymała jest bohaterem przedstawienia, było niepożądane.

Drzymałowa (kol. Skrzypczyńska) nadawała się do swej głównej roli. Grała ze specjalnym wyczuciem tej roli. Głos miała niezbyt miękki, co doskonale licowało z rolą chłopki. Wspaniale oddała swą rozpacz w trzeciej odsłonie. W momentach jej gry z synami wyglądała jak prawdziwa, kochająca matuchna. Żandarm (kol. Szczepanek) był sztywny jak na pruskiego żandarma przystało.

Synowie Drzymały grali naturalnie i swobodnie. Druga odsłona miała dekorację wspaniałą. Należał do niej wóz Drzymały widziany z zewnątrz na tle wiejskiego krajobrazu.

Sąsiad Drzymały (kol. Pawlak) grał dobrze. Jedyłą usterką był zbyt młody głos i częste używanie polszczyzny literackiej zamiast gwary.

Trudno określić grę hrabiego (kol. Langnera), gdyż grał właściwie bez zarzutu, głos dostosowywał zawsze do treści, jednak jakoś nie naturalnie, sztucznie obracał się na scenie. (Nawiasem wspomnę, że w czasie pierwszego z przedstawień, na których byłem, hrabia jako hrabia okazał się na tyle nieokrzesany towarzysko, że witając się, najpierw podał rękę Drzymałemu a potem Drzymałowej: bohater bohaterem ale kobieta kobietą!) W trzeciej odsłonie wywołano pożądany ponury nastrój przez odpowiednie oświetlenie, złowieszcze stukanie kosturem Drzymały i obraz na kupę zwalonych „gratów“ Drzymały.

Występujący w tej odsłonie Żyd („narodowości - niemieckiej“) (kol. Nowicki) robił rzeczywiście żydowskią wrażenie, przez swoje ruchy (całkiem po żydowskiu elastyczny kręgosłup i tułów) i akcent, także żydowski (chociaż w niektórych chwilach aktor zapomniał o tym akcencie). Niesamowite wrażenie wywarło szatańskie kuszenie Drzymały przez Żyda.

Efektowne były epizody humorystyczne (np. z hrabią, z żandarmem).

Muszę jeszcze raz podkreślić, że oddanie sztuki było bardzo dobre.

Nie była winą aktorów dość pokaźna ilość błędów wynikających z tekstu a więc spowodowanych przez autora sztuki (np. „spokojnie zaspokoić“ albo, co znaczyć miało, że „miłość do ojczystej ziemi dostaliśmy ps i m s w ę d e m w spadku“, dalej raziły słowa, które autor jakby przeczuwając, że rolę hrabiego odegra uczeń Gimnazjum Kupieckiego, wkłada w usta hrabiego czysto kupieckie powiedzonko: „Jeszcze jakie życzenie?“).

Przedstawienie zostało zakończone osobnym epilogiem, w rodzaju żywego obrazu. Epilog ten był najlepszy z całego przedstawienia, wywarł najgłębsze wrażenie. Z tak obszernym, celowym i trafnym wykorzystaniem efektów świetlnych nie spotkałem się dotychczas w Ostrowie, efekty świetlne — wyjątkowe! Silnie działały także śpiewane za sceną „święty Boże, święty Mocny...“ i odgłosy toczącej się bitwy.

Matka Boska (kol. Nowakówna) w różnie dobieganym świetle wyglądała subtelnie. Mówiła głosem miękkim, pełnym, ujmującym.

Polska (kol. Filkówna) z rozpuszczonymi długimi włosami wyglądała jak prosty ale pełen artyzmu pomnik. Zrzucenie kajdan przez Pol-

skę przy jednoczesnym rozjaśnieniu jej postaci — dało wrażenie niespodziane i trwałe. Tak samo dobre, jako efekt końcowy ukazanie się sztandaru z Orłem nad głową Polski.

Po przedstawieniu odegrała orkiestra hymn narodowy, co utrwaliło poważne, dodatnie wrażenie widowiska.

Wykonawcom należy się nie tylko formalne ale przede wszystkim faktyczne uznanie.

---

## TADEUSZ RAJSKI

### NOWA IMPREZA NA FON.

#### (O „Kopciuszku“)

Ktoś chciał porównać „Kopciuszka“ z „Nowym Don Kiszotem“ i nie od razu zrozumiał, że tych dwóch sztuk ze sobą porównywać nie można. Każda ma bowiem zupełnie inny charakter. „Don Kiszot“ jest komedią, „Kopciuszek“ widowiskiem fantastycznym; i tu tkwi zasadnicza różnica. W komedii stawia się na aktorów, w baśniach na efekt (ten łatwiej uzyskać niż dobrych aktorów); wyreżyserować komedię jest znacznie trudniej. Tu nie może ponieść fantazja, tu są pewne granice, klamry, których trzeba się trzymać. Stroje nie wiele zaważą; w komedii ogląda się przede wszystkim grę. I jeżeli „Nowy Don Kiszot“ może się już poszczycić złożonymi na FON przeszło 600 zł — to jest b. dużo. Wielkim plusem dla „Don Kiszota“ jest to, że jest sztuką propagandową, raczej propagującą rodzimą sztukę polską, dzieło znakomitego Fredry. Objężdżając okolicę, zasługuje się bardzo poważnie. I pomyślmy, że po 7 występach uczniowie znowu jadą z nowym przedstawieniem! I tu i tam są plusey i minusy.

Do teatru szedłem z głębokim przekonaniem, że nie będą żałował. Wyszedłem nierozczarowany. „Kopciuszek“ był obliczony na efekt; i był dobrze obliczony.

Bajkę o Kopciuszku, macosze, królewiczu i złotym czy szklanym (raz taki, raz taki występował) trzewiczku — na pewno każdy znał. Adolf Walewski wcale zgrabnie ją przerobił (skąd jednak wzięła się lornetka w państwie króla Ćwieczka?) Wspaniałe stroje, imponujące dekoracje i umiejętne oświetlenie — zrobiły swoje; wytworzyły właściwą baśniową sytuację, one właśnie nadały sztuce ten przyjemny ton i one zaważyły na pochlebnej ocenie. Stroje były ładne i gustowne; czy to siostr Kunegundy i Serafiny czy ich matki, ministrów lub Gwiazdonia. Trudno inaczej sobie wyobrazić króla Ćwieczka, pociągająco wyglądał królewicz, baśniowo Baba Dziwo i jej świta.

Dekoracyjnie najlepiej wypadł obraz drugi (u Baby Dziwo) i scena dworze królewskim. Dekoracje bogate, ale nie przeładowane. Kapitalny wprost był „Bal w kuchni“, naprawdę udały, albo czary u Baby Dziwo. Dekoracje wytwarzały właściwą atmosferę; tajemniczością potęgowały urok czarownicy, na zamku dostosowano je do powagi i majestatu królewskiego. Poważnie też wyglądali: marszałek i minister.

Role były dobrane; szkoda, że nie mogę podać nazwisk aktorek, ale w programie ich nie znalazłem, a sam też nie znam. Kopciuszek grał zadawalniająco; szkoda, że na dworze królewskim nie zapomniał, że jest Kopciuszkiem. Jej siostry, Serafina i Kunegunda — tak jak między sobą nie mogły się zgodzić, która piękniejsza lub lepiej tańczy, tak i nie można określić, która lepiej grała; obie były poprawne. Najwięcej okłasków zbierał Goździk, jednak nie za całość lecz za poszczególne momenty; ruchy w wielu momentach mocno nieobliczone. Całkiem bez zarzutu był król Ćwieczek; pocziwiej starowinie chciało się jeszcze dreptać katarynkowym ruchem, wywodząc tany. Nie łatwo zapamiętać „dzisiaj nie będzie kolacji — idźcie do restauracji!“. Za to słabiej wypadł królewicz; zawsze jednakowy: czy to w nurtującej go melancholii, czy to szczęśliwy z Różą, czy tęskniący za nią. Tańce były trochę przydługie; dobrze wyćwiczone, ładne, żywe, ale figurowo niebo-



gate. Denerwujące było powtarzanie: „Po raz pierwszy, drugi, trzeci... „(ktoś spytał: czy to — licytacja?) scena z przymierzaniem trzewiczka i stale ta sama melodia.

Brawo, koleżanki! Udało się! Widzowie byli zadowoleni, zespół aktorek chyba też, no i reżyserka, której rękę było widać w każdym szczególe, chyba najwięcej.

---

## a. b. c...

Na przestrzeni bardzo krótkiego czasu byliśmy świadkami aż trzech imprez szkolnych. I — trzeba przyklasnąć — dochód z wszystkich trzech szedł na FON. Najpierw nasze gimnazjum wystawiło komedię Fredry „Nowy Don Kiszot“, potem Gimnazjum Kupieckie dało „Wóz Drzymały“ (może najwięcej wiąże się z naszym terenem); ostatnio uczennice Gimnazjum Żeńskiego popisały się efektownym „Kopciuszkiem“. Recenzje z „Kopciuszka“ i „Wozu Drzymały“ dajemy na innym miejscu. — Teatry szkolne ruszają się!

Dzień 8 maja będzie dla nas szczególnie ważny. Ofiarujemy w nim bowiem ostrowskiemu pułkowi karabin maszynowy, który budowaliśmy półtora roku, manifestując tym samym w chwilach tak poważnych nasze szczerze i gorące uczucie dla Armii nie słowem ale czynem. Do czynu jesteśmy zawsze gotowi. Nawet my, młodzi, do czynu zbrojnego. A niebezpieczeństwo zachodnie niedalekie!

„Czerwone Tarcze“ prowadzą stały dział pod tyt.: „Z notesika“, gdzie notują ciekawsze zjawiska literackie. Nie wiem, kto jest kierownikiem tego działu, ale mocno zdaje mi się, że redagujący go nie dorósł jeszcze do tego. W ostatnim numerze „Czerwonych Tarcz“ czytamy taką „ciekawą“ uwagę o Konstantym Dobrzyńskim (z okazji przyznania mu nagrody literackiej „Prosto z mostu“): „Dobrzyński, to taki sobie Tuwim, tylko bez tej wielkiej kultur i bez tego wielkiego talentu“. Porównanie wcale trafne, prawda? Uznajemy Tuwima, jego wielki naprawdę talent i znaczne stanowisko w naszej literaturze; nie operujemy już takim argumentem, że to Żyd, ale pamiętamy obok pięknej liryki, cały szereg pornograficznych jego wierszy, wpływających bardzo szkodliwie na psychikę młodzieży; pamiętamy osławione dziś wiersze: „Do żołnierza“ czy „Popierajcie LOPP.“. „Czerwone Tarcze“ nie umieją przyznać Dobrzyńskiemu talentu i uznać uwielbienia, jakie go otacza, posuwają się daleko: chcą go ośmieszyć i strącić z piedestału, na jaki, jako samouk i robotnik z trudem się wdrapał. U nas Dobrzyński zapisał się ładnie: wierszem „27 grudnia“ deklamowanym przez kol. T. Nabzdyka na akademii 31-go stycznia br. — Właściwą sylwetkę poety skreślę w następnym numerze.

(r. t.)

---

## OD REDAKCJI

Obecny numer składamy przede wszystkim z materiału pozostałego od ubiegłego miesiąca. I tak kończymy studium kol. Reisinga „Forma a treść“, dajemy ciekawy artykuł kol. Szymańskiego „Człowiek gospodarujący w Polsce“, poza tym rozprawkę o wierszach Wierzyńskiego. Najciekawszy będzie napewno artykuł kol. Nabzdyka „Nad programem Szczublewskiego“ — gorąco zalecam go wszystkim, szczególnie tym, co do „Promienia“ piszą a jeszcze więcej tym, co może chcieliby pisać a — jakoś nie potrafią. Może i na ten temat rozwinie się dyskusja, bo temat na prawdę ciekawy.

Szereg artykułów trzeba było znowu odłożyć na później.

**Kol. L. M. III b.** — wiersze wcale dobre. Boimy się jednak drukować, bo właśnie są za dobre i dlatego tak łatwo wpaść w posądzenie, że niesamodzielne. Dlatego drukuję na tym miejscu wiersz „Na świecie Maj“.

Świec żarzących tyle  
I rozwiniętych kwiatów snopy zżęte  
I ziół pachnących wilgotne badyle  
W blask przed Jej stopy położono święte.

Maj!...

Najranniejsze co na wiosnę  
Lśnią po łąkach kwiaty białe,  
Najpiękniejsze a nietrwale,  
Pod Twą pieczę przyniesione —  
Nienazwane, niewyśnione  
Jako puchy z traw strząśnione,  
Te najcichsze a żalodne —

Sny człowiecze! —

Wszystko mówi dziś do Ciebie  
Głosy ludzkie, kwietne, wietrzne  
Te doczesne i przedwieczne  
Wszystko się u stóp Twych kaja —  
Pąki w sadach, ziarna w glebie  
Wszystko garnie się do Ciebie

Ty gwiazdzista Pani Maja!...

i wyjątek z „Nabożeństwa majowego“

Pani Anielska!

Ja w Ciebie wierzę i wiem, że Ci dano  
W tę chwilę świętą, krótką w tę wiosnianą  
Godzinę łaski — na ziół chłodnej woni  
Pojmować niemą dusz chorych wymowę,  
I niewidzialnym położeniem dłoni,  
W te zmierzchy ciche, ciepłe fioletowe  
Uciszać skrzydeł krwawych szum, i burzą

Myśli zawładnąć! —

Prosimy uprzejmie o dalsze próbki.

---

Nakł.: T. T. Z. przy Państw. Liceum i Gimnazjum Męsk.

Odbito w Drukarni „Orędownika Ostrowskiego“ — Ostrów.

17

i

18

maja

ZJAZD

T. T. Zetów

w

Ostrowie

W programie :

- 17. V. — Turniej autorski (dla młodzieży)  
i Wieczorek
- 18. V. — Wspólne nabożeństwo, Zebranie  
ideowe i Turniej autorski (dla  
dorosłych)

11